

Posłuszeństwo sumieniu czy Kościołowi?

Wielu księży boi się stawiać sprawę sumienia i wolności wyrażnie: „Masz prawo iść za głosem swojego sumienia”. W tle czai się niekiedy niewypowiedziana wprost obawa, że przestaniemy wówczas mieć nad ludźmi kontrolę. A przecież nie o taką kontrolę chodzi

**Z ANDRZEJEM
SZOSTKIEM MIC**

ROZMAWIA

DOMINIKA KOZŁOWSKA

Komu należy bardziej ufać: własnemu sumieniu czy biskupom?

Oczywiście własnemu sumieniu. Odpowiedź ta wymaga jednak rozwinięcia. Czym bowiem jest sumienie? Najkrócej mówiąc, jest to moje przekonanie o tym, co powinienem czynić. A skoro tak, to jak mógłbym go nie słuchać? Czy możliwa jest sytuacja, w której jestem prze-

świadczony, że nie powinienem postępować zgodnie z własnym przekonaniem? A jednak wiemy, że przeżywamy wątpliwości w tym względzie. A jest tak dlatego, że przekonanie to (sumienie) ma swoją strukturę. Jeśli to „moje przekonanie” jest krytycznym, racjonalno-emojonalnym sądem, wówczas trzeba uznać, że stoją za nim jakieś argumenty. W tym sensie wszelkie autorytety, z kościelnymi włącznie, mieszczą się w kontekście uzasadnienia tego osądu. Sąd mój, czyli mój akt rozumnego poznania, nie rodzi się w próżni, jest formułowany w oparciu o jakieś zewnętrzne przesłanki. Kiedy zastanawiam się, jaki stopień postawić studentowi na egzaminie, opieram się na odpowiedziach, jakie od niego uzyskałem; to jest podstawowe kryterium, w oparciu o które opieram swój sąd sumienia: „Powinienem mu postawić taki a taki stopień”. Nawet w banalnych sytuacjach, gdy np. kupuję pastę do zębów, to także w oparciu o jakieś racje tę właśnie, a nie inną pastę wybieram. „Powinienem kupić tę pastę do zębów” – to także sąd sumienia.

Niektórzy wiążą sumienie tylko ze sprawami wielkiej wagi. Ale niełatwo odróżnić sprawy wielkiej i mniejszej wagi. Granice są tu nieostre, rozciągliwe, jak między wysokim a niskim, ciężkim a lekkim. Proponuję więc uznać za sąd sumienia każde wartościujące („powinienem”) uznanie, co mam w danej sytuacji robić, nawet jeśli zdaje sobie sprawę z tego, że niekiedy te rozstrzygnięcia dotyczą ważnych spraw, a przy tym wiążą się z wewnętrzną rozterką – i wtedy szczególnie chętnie mówię o dylematach sumienia.

Jaką rolę w odkrywaniu tego, co powinienem uczynić, mogą odgrywać inni? Jaki autorytet ma w przypadku takich decyzji Kościół?

Wszystko, co robię, jest skutkiem jakiegoś wyboru, który wytrąca mnie z bierności i skłania do podjęcia określonego działania. Jeżeli chcę być rozsądny, to zanim dokonam wyboru, zwłaszcza w ważnych sprawach, rozglądam się za kimś, kto może mi pomóc podjąć trafną decyzję. Wśród nich jest także głos Kościoła, w nim zaś – głos biskupów. Byłoby aktem arogancji, gdybym rozstrzygał sprawy bardzo ważne, nikogo nie pytając o zdanie. Jeżeli należę do Kościoła z przekonania, a nie jedynie z przyzwyczajenia, wówczas jest zrozumiałe, że wypowiedzi pochodzące z wnętrza Kościoła traktuję jako ważne przesłanki dla budowania własnego rozpoznania.

Zdarza się również, że podejmujemy decyzje, które – zwłaszcza w punkcie wyjścia – całkowicie polegają na autorytecie. Oto prosty przykład: wracam z Tatr, przeszczęśliwy, z poczuciem jakiejś satysfakcji. Przeszedłem przez Czerwone Wierchy, zszedłem przez Giewont w dół; tyle widziałem, tak się cudownie zmęczyłem. Na Krupówkach spotykam znajomego, dzielę się z nim swym zachwytem – a on powiada: „Nie rozumiem cię. Po co się męczyć? Jeszcze można nogę złamać, spaść ze stoku. Po co to ryzyko? Przecież możesz sobie obejrzeć Tatry z Głodówki, a resztę czasu spędzić na spacerze po Krupówkach, wypić dobrą kawę”. Co mogę mu odpowiedzieć? Jak wyrazić słowami piękno górskiej wędrówki? Mówię więc: „Chodź jutro ze mną. Sam zobaczysz”. Ale co to znaczy? To znaczy, że mówię mu: „Uwier mi. Tylko tak poznać możesz to, czego nie da się opowiedzieć”.

Po górach można ostatecznie nie chodzić. Ale są doświadczenia, których uniknąć się nie da. Na przykład: jak sobie dać radę z dojmującym cierpieniem? Znamienna jest odpowiedź, jaką daje Jan Paweł II w liście *Salvifici doloris*. Papież powiada: człowiek chciałby, aby mu wytłumaczyć sens cierpienia, a wtedy będzie gotów iść za Chrystusem, Jego drogą krzyżową. Odpowiedź Jezusa brzmi jednak: „Idź za mną, a wtedy może pojdziesz choć trochę sens cierpienia”. W ten sposób warto spojrzeć na autorytet Kościoła. Człowiek pokorny zdaje sobie sprawę, że wielu rzeczy nie wie. Ma także świadomość, że wielu rzeczy nie da się poznać inaczej niż przez doświadczenie. Nie będzie się więc upierał, żeby mu najpierw rzecz wytłumaczyć, tylko spróbuje zawierzyć i z perspektywy zawierzenia – zrozumieć. Efekty bywają różne. Nie twierdzą, że taki wybór zawsze prowadzi

do posłuszeństwa Kościołowi. Chcę jedynie pokazać, że zawierzenie autorytetowi nie jest przeciwne sumieniu.

Sądzę, że większość osób nie miałaby problemu, aby to, co Ksiądz mówi, odnieść do osobistej relacji z Jezusem. Wiara polega na zawierzeniu Chrystusowi. Jednak posłuszeństwo Kościołowi nie zawsze musi być utożsamiane z posłuszeństwem Chrystusowi. Rzeczywistość Kościoła jest z jednej strony rzeczywistością ludzką, z drugiej – boską. Trudno jest nieraz odróżnić, z którą z nich mamy do czynienia. Pytanie: czy słuchać Boga czy Kościoła?, dla katolika brzmi nieco kłopotliwie. Wierzymy przecież, że właśnie w Kościele słyszę głos Chrystusa. Wiem, że mój opór wobec orzeczeń Kościoła może wynikać z mej niedojrzałości. Człowiek całe życie dojrzewa, a to znaczy: więcej widzi i dzięki temu staje się dojrzalszy (to piękna dwuznaczność słowa „dojrzewać”). Dojrzewa także w swoim rozeznaniu tego, jak powinien żyć, postępować, co wybierać. Dojrzewa także w rozumieniu, jaką rolę w jego życiu odgrywa autorytet, ale zawierzenie autorytetowi oznacza zarazem podjęcie wysiłku dojrzewania tego, co ów autorytet widzi. W wyniku tego procesu dojrzewania jedni dochodzą do odrzucenia autorytetu Kościoła, inni do trwania przy nim. Nikomu nie można narzucić rozstrzygnięcia z góry. Do tego trzeba dojść samemu.

Słowa Chrystusa z reguły budziły zdumienie, nierzadko oburzenie. Wyrastały ponad mentalność i wyobraźnię tych, do których mówił. A Boski Mistrz nie oszczędzał swych uczniów. Najpierw doprowadził apostołów do przekonania, że jest kimś więcej niż najwięksi prorocy, że jest Synem Boga Żywego. Gdy Jego uczniowie – nie bez trudu – tę prawdę przyjęli, to zaczął zapowiadać swoją Mękę. I poniósł – On, Syn Boży! – bolesną i po ludzku haniebną śmierć na krzyżu. A na koniec zmartwychwstał... Cóż dziwnego, że apostołowie się przestraszyli na wieść, którą przyniosła im Maria Magdalena. Co to za niesłychana droga dojrzewania! Pytanie: czy ta droga zdumienia, zwątpienia, lęku, nawrócenia miała być udziałem jedynie apostołów? Św. Augustyn powtarzał: „*Deus semper maior*” („Bóg jest zawsze większy”). Ulegamy nieraz w życiu pewnego rodzaju lenistwu intelektualnemu, które polega na tym, że chcemy, aby otaczająca nas rzeczywistość i odpowiedź wiary jawiły się jako proste i przejrzyste. Jeżeli uda mi się tak ułożyć życie i wiarę, że wszystko będzie dla mnie proste i jasne, to będzie dość mocny dowód na to, że błędę. Bóg, którego bez

reszty rozumiem i który nie sprawia mi żadnych problemów, nie jest Bogiem prawdziwym, ale bożkiem, którego sam sobie stworzyłem.

Co, zdaniem Księdza, dziś buduje, a co osłabia autorytet Kościoła?

Autorytet Kościoła buduje Chrystus, którego Kościół ma być wyrazicielem. Jeśli słuchamy biskupów, to dlatego że wierzymy, iż przez nich mówi Chrystus. Ale uwaga: nie każda wypowiedź biskupów musi być głosem Chrystusa. Na przykład: gdy zaczynają się polityczne rozgrywki, gdzie zaczynamy dbać o własną dobrą opinię, zamiast głosić Ewangelię, to głos Chrystusa może zostać zakryty, a Kościół będzie tracił na wiarygodności. Jednak warto czasem przypomnieć, że głos biskupa, zwłaszcza papieża, to nie tylko jego osobiste opinie. Co buduje autorytet papieża Franciszka? Nie tylko to, że chroni Kościół przed arogancją ani że posiada wiele osobistego uroku. Jego autorytet płynie z ewangeliczności jego słów i decyzji. Budzi on spontaniczną sympatię wierzących i niewierzących po prostu jako człowiek, ale właśnie w kontekście tej spontanicznej doń sympatii trzeba przypomnieć: „Słuchaj uważnie. To mówi następca św. Piotra – i mówi jako następca św. Piotra. Usłysz w tym głosie przesłanie Ducha Świętego, a nie prywatny głos papieża Franciszka”.

Zdarza się, że argumenty wyjaśniające stanowisko biskupów w jakiejś sprawie do nas nie przemawiają. Czy takie słabe argumenty mogą uzasadniać odrzucenie stanowiska biskupów?

Sięgnijmy do przykładów. Oto w XII w. papież, niektórzy biskupi i inne kościelne autorytety nawoływały do wojny religijnej, do wojen krzyżowych. Oczywiście działo się to w określonym kontekście historycznym, który wiele tłumaczy. A jednak św. Franciszek poszedł do wyznawców islamu bez broni. Czy nie był to głos protestu przeciw ówczesnemu rozumieniu szerzenia Ewangelii? A Katarzyna Sieneńska: ileż ona surowych

słów powiedziała papieżowi! I dziś czcimy ją jako świętą. Niech te dwa przykłady wystarczą, by pokazać, że niekiedy w imię Chrystusa i Ewangelii można, a nawet trzeba, krytykować słowa i czyny hierarchów, zwłaszcza gdy mają one charakter wypowiedzi i decyzji politycznych, a nie ściśle ewangelicznych.

Inny jednak jest sens stanowiska Kościoła dotyczący np. kwestii zapłodnienia *in vitro*. To stanowisko wyrasta z głębszej wizji człowieka i międzyludzkiej, zakorzenionej w Bogu, miłości. Wielu katolików słabo zna tę doktrynę, bliżej im do potocznej wizji relacji międzyludzkich, małżeństwa, rodziny. Ale jeśli poważnie traktują przynależność do Kościoła, to nie powinienem zatrzymywać się na poziomie upraszczającej opinii: „Chcę mieć dziecko, a Kościół mi tego zabrania”, ale zagłębić się w wizję człowieka, która leży u podstaw rozstrzygnięć proponowanych przez Kościół. W tej wizji, której nie mogę tu pełniej rozwijać, istotne jest rozumienie człowieka jako istoty duchowo-cielesnej, jak również więzi małżeńskiej, znów: duchowo-cielesnej tak ściśle, że najgłębsze akty miłości małżeńskiej wyrażane są aktami cielesnymi, których sensu – także teologicznego – nie ustala człowiek dowolnie. Stąd tak „mocne” stanowisko Kościoła

zarówno w sprawie rozwodów, jak i antykoncepcji z jednej strony a zapłodnienia *in vitro* – z drugiej. Stanowisko trudne także dla duszpasterzy. Nam, księżom, byłoby łatwiej, gdybyśmy na te wszystkie sprawy machnęli ręką: „Dajmy spokój rozwodom, antykoncepcji. Nie kłóćmy się ciągle o *in vitro*. Nasze myślenie nie musi się przecież koncentrować na sprawach seksu”. Nie musi, ale poprzez te szczegółowe kwestie dochodzi do głosu kwestia rozumienia człowieka, i to w kontekście

jego najgłębszych aktów miłości. Nie da się obok niej przejść obojętnie. Czy Kościół ma rezygnować z tego typu wymagań? Jeżeli tak, to po co Kościół, jeśli miałby on po prostu powtarzać to, co mówią wszyscy inni, ograniczając swą misję do głoszenia pobożnych haseł: pamiętaj o Panu Bogu, dąż do świętości itd.?



Jako człowiek sumienia powinienem starać się zrozumieć intencję Magisterium. Jeżeli jednak dojdę do przekonania, że w Kościele nie znajduję odpowiedzi na swoje wątpliwości, muszę zmagać się z tym zagadnieniem samodzielnie

Jako człowiek sumienia powinienem starać się zrozumieć intencję Magisterium. Jeżeli jednak dojdę do przekonania, że w Kościele nie znajduję odpowiedzi na swoje wątpliwości, muszę zmagać się z tym zagadnieniem samodzielnie. Są sytuacje, które *a limine* trudno wykluczyć, kiedy człowiek dochodzi do wniosku: „Przepraszam, Kościele święty, ale w tym momencie nie jestem w stanie zaaprobować twoich wymagań”. To jest dramat, ponieważ z jednej strony chcę być wierny Kościołowi, wierzę, że w nim odkryję prawdę, a z drugiej strony w konkretnej kwestii dochodzę do wniosku, że tej prawdy w Kościele nie znajduję.

***In vitro* należy do zagadnień związanych z przełomem naukowo-technicznym, którego świadkami jesteśmy obecnie. Przełom ten stawia nas w obliczu nowych możliwości, wyborów etycznych i antropologicznych. Czy w takich momentach Kościół musi mieć gotowe odpowiedzi na każde pytanie?**

Pani pytanie skłania do odpowiedzi: „Oczywiście, że byłoby dobrze, aby Kościół nie starał się zbyt szybko zamykać niektórych kwestii, poznał wszystkie doniosłe fakty, okoliczności, osiągnięcia ludzkiego umysłu, współczesny kontekst kulturowy itp.”. Wprawdzie nie należę do sfer decyzyjnych w Kościele, ale wyobrażam sobie, że do biskupów docierają podobne głosy: „Nie spieszc się z rozstrzygnięciami. Przemyslcie rzecz dogłębnie”.

Z drugiej jednak strony pojawiają się inne głosy: „Kościele, powiedz mi, co mogę robić, a czego powinienem unikać. Po co jest Urząd Nauczycielski, skoro w trudnych sytuacjach nie daje jasnych wskazówek? Po co te wszystkie urzędy, komisje ekspertów? Czy Kościół ma czekać 15 lat z rozstrzygnięciem kwestii, które tu i teraz domagają się odpowiedzi?”. Cenne i ważne są osoby, które dociekają prawdy. Jednak niektórzy nie mają takich ambicji i możliwości intelektualnych – mają raczej poczucie, że nie są zdolni do samodzielnego rozstrzygnięcia tego typu problemów. Nie chcę oceniać takich osób. Z ich perspektywy można uznać, że również i po to jest Kościół, aby wskazywać ludziom drogę życia. Człowiek ma prawo zawierzyć, że rozstrzygnięcia proponowane przez Kościół są słuszne, i to również może być działaniem zgodnym z sumieniem, niełamającym jego autonomii. Ale przyznaję, że pospieszne rozstrzygnięcia mogą okazać się błędne lub zbyt jednostronne, w pewnym sensie niedojrzałe. Dla

tego trzeba pamiętać, że Kościół ma prawo w swoich orzeczeniach dojrzewać, choć dojrzewać nie znaczy zmieniać co chwilę zdanie.

Nie możemy zatem zupełnie wykluczyć, że stanowisko Kościoła odnośnie do *in vitro*, osób żyjących w powtórnych związkach czy związkach homoseksualnych będzie w przyszłości ewoluować w jakimś nowym kierunku. Tymczasem osoby, które dziś podejmują decyzje sprzeczne z Magisterium, żyć muszą w poczuciu zerwanej jedności z Kościołem.

W związku z tym pojawia się nieraz pomysł: wyrzycimy na Kościół nacisk, aby zmienił swoje stanowisko w jakiejś kwestii. Gdyby się okazało, że decydującym argumentem na rzecz zmiany doktryny jest taki nacisk, to ja przeżyłbym swój kryzys tożsamości w Kościele. Oczywiście rozpowszechnione nieposłuszeństwo w jakiejś kwestii powinno być dla Kościoła znakiem. Być może znakiem tego, że – by zacytować słowa Jezusa z Ewangelii św. Łukasza skierowane do uczonych w Piśmie – „wkładacie na ludzi ciężary nie do uniesienia, a sami jednym palcem ciężarów tych nie dotykacie”. Nie chodzi o to, aby takie zjawiska lekceważyć, aby Kościół z uporem trwał przy jakiejś doktrynie, lecz by rozważyć przyczyny tego nieposłuszeństwa. Przyczyny bywają różne i nie zawsze da się dojść do satysfakcjonującej wszystkich zgody. „Trudna jest ta mowa. Któż jej może słuchać?” – usłyszał kiedyś Jezus, a po tym wyrzucie wielu od Niego odstąpiło. Czy w odpowiedzi na to uczynił jakiś cud, aby ludzi przy sobie zatrzymać? Zaczął ich przekonywać? Nie, pozwolił im odejść, apostołów zapytał tylko: „Czy i wy chcecie odejść?”. Czy spór o antykoncepcję, *in vitro*, związki homoseksualne, nierozzerwalność małżeństwa, kapłaństwo kobiet należy do tych przypadków, gdy Kościół usłyszy: „Trudna jest ta mowa” – i czy powinien zareagować tak jak w przytoczonej sytuacji Pan Jezus? Rozstrzygnięcie tego nie należy do łatwych.

Kościół w swym nauczaniu podkreśla prymat sumienia. Z drugiej jednak strony wnikliwie drażnienie pewnych kwestii, mnożenie wątpliwości odnośnie do stanowiska biskupów w jakiejś sprawie naraża nas na zarzut niewierności. W liście episkopatu Polski z 2010 r. biskupi przestrzegają przed świętokradczym przyjmowaniem komunii św. przez osoby, których poglądy w kwestiach moralnych nie są zgodne z nauczaniem Kościoła. Mogłabym podać więcej podobnych przykładów.

Uważam, że człowiek ma prawo żywić wątpliwości. Nawet apostołowie nieraz sprzeczali się z Jezusem i nie wykluczało ich to z grona Jego uczniów. Trzeba i warto być wiernym swojemu sumieniu, ale przy świadomości ceny, którą przychodzi za to zapłacić. Św. Tomasz w swej *Sumie teologicznej* przytaczał racje, które przemawiają za uznaniem istnienia Boga (znanych pięć dróg Tomaszowych). Ale pryncypialny jak zawsze Akwinata pyta dalej: czy ateista powinien oddawać cześć Bogu, w którego istnienie nie wierzy? I odpowiada: nie. Oddając Mu cześć, grzeszyłby. Wprawdzie jeśli Mu czci nie odda, to może być spalony na stosie (związek religii i państwa to osobny temat), ale uniknie grzechu, którym byłoby kłamliwe wobec własnych przekonań uczczenie Boga. To jest obrona sumienia! Kto stanowczo odrzuca naukę Kościoła, ten staje poza nim. Wspólnota Kościoła to wspólnota jednej wiary. Heretyk ma prawo być heretykiem z najuczciwszych powodów, nie można jednak zamazywać faktu, że jest heretykiem. Sobór nicejski poprzedzały bardzo dramatyczne spory na temat człowieczeństwa

Pospieszne rozstrzygnięcia mogą okazać się błędne lub zbyt jednostronne, w pewnym sensie niedojrzałe. Dlatego trzeba pamiętać, że Kościół ma prawo w swoich orzeczeniach dojrzewać, choć dojrzewać nie znaczy zmieniać co chwilę zdanie

Chrystusa. Jeden i drugi obóz mógł być w swych przekonaniach uczciwy, obydwaj jednak nie mogły mieć racji, dlatego jeden z nich został wyłączony ze wspólnoty Kościoła. Nie traktujmy tego jako kary, ale jako konsekwencję wewnętrznej uczciwości. Widocznie Pan Bóg prowadzi ludzi różnymi drogami. Nie każdego tą drogą, której znakiem jest jedność eucharystyczna.

Niekiedy ktoś w imię intuicyjnie wyczuwanej zasady ważności więzi z Kościołem dochodzi do wniosku: przyjmę to, co mi Kościół proponuje, chociaż widzę w tym pewne luki. A może to ja w jakimś punkcie się mylę? Może czegoś nie dostrzegam? Bywają jednak sytuacje odwrotne. Mam znajomego, bardzo dobrego chrześcijanina, który nie może pojąć stanowiska Kościoła odnośnie do *in vitro* – i dlatego nie

przystępuje do komunii św. Problem osobiście go nie dotyczy: ani nie zmagął się z decyzją w tym zakresie, ani nawet zawodowo nie ma z tym nic wspólnego. Jako ksiądz namawiam go, aby nie był wobec siebie tak surowy. On jednak twierdzi, że wewnętrzna uczciwość mu na to nie pozwala.

Na początku naszej rozmowy wspomniał Ksiądz, że sumienie jest głosem mojego przekonania. Jak to zatem możliwe, że zdarza nam się nieraz dojść do wniosku, iż nasze przekonania były fałszywe?

Czasem po prostu uświadamiamy sobie, że nie uwzględniliśmy jakichś ważnych przesłanek naszych przekonań albo je źle rozumieliśmy. Ale bywa też, że człowiek sam siebie oszukuje, a wtedy nawrócenie polega na rozpoznaniu tego błędu – błędu nie rozumu, ale woli. To ważny i trudny problem. Pewnie spotkała się Pani z ostrzeżeniem: nie rób nic wbrew sumieniu, bo będzie cię ono ściagać do śmierci. To, moim zdaniem, zbyt optymistyczna teza. Człowiek potrafi tak przerobić sobie sumienie, że nie będzie go ono ściagać. Cnotą, która pro-

wadzi sumienie, jest roztropność: cnota intelektualna i moralna zarazem. Wymaga nie tylko poznania wszystkiego, co prowadzi do trafnego rozpoznania danego przypadku i słusznej decyzji, ale także prawości. Samooszukiwanie na pierwszy rzut oka wygląda na kwadraturę koła. Przecież oszustwo polega na tym, że znający prawdę oszust ukrywa ją przed nieznanym jej oszu-

kiwanym. Jak mogę być zarazem znającym prawdę oszustem i nieznanym jej oszukiwanym? Jak mogę oszukiwać samego siebie? A przecież wszyscy wiemy, że to możliwe. Św. Paweł w Liście do Rzymian kieruje surowe słowa do tych, którzy „przez nieprawość nakładają pęta prawdzie”. Jemu chodzi głównie o prawdę, którą jest sam Jezus Chrystus, ale sens tego oskarżenia sięga także sytuacji, o której mówimy. Potrafimy wypracować w sobie całe mechanizmy samooszukiwania. Tak usiłujemy uwolnić się od trudu nawrócenia. Bliskie to jest temu, co psychologowie nazywają racjonalizacją: dobieraniem szlachetnych słów lub motywów do nieszlachetnych naszych działań, które staramy się z siebie wyprzeć. Zdarzyło mi się np., że stchórzyłem i zdradziłem przyjaciela, sam unikając przykrych kon-

Pytanie: czy słuchać Boga czy Kościoła?, dla katolika brzmi nieco kłopotliwie. Wierzymy przecież, że właśnie w Kościele słyszę głos Chrystusa

sekwencji, które on musiał ponieść. Przykro jest nazwać siebie tchórzem i zdrajcą, wolę określić swe postępowanie jako roztropne, ostrożne, uwzględniające skomplikowane okoliczności. Załatwiłem jakąś sprawę, udzielając łapówki. Zamiast powiedzieć wprost, że to była korupcja, wolę powołać się na zepsuty świat i nazwać siebie realistą. Tak właśnie przez nieprawość nakładamy pęta prawdzie, aż w końcu sami stajemy się niezdolni ją zobaczyć, a sumienie nic mi wyrzucać nie będzie. Nie znam lepszej drogi unikania samooszukiwania się lub leczenia z samooszustwa jak uparte otwieranie oczu na prawdę, zwłaszcza niewygodną, nawet jeżeli ta prawda przychodzi od kogoś, kogo wygodniej byłoby nam określić mianem wroga Kościoła (to kolejny przykład oszukańczej racjonalizacji). Obym jeszcze potrafił spojrzeć prawdzie w oczy! Jeżeli wierzę, że Chrystus jest drogą, prawdą i życiem, żadnej prawdy nie powinienem się bać. Jeżeli zaczynam się bać, to wchodzę na drogę ucieczki od prawdy, zniekształcam swoje sumienie.

Jan Paweł II poświęcił kwestii sumienia i prawdy jedną ze swych encyklik. Tymczasem sumienie odnosi nas także do pytań o wolność. Dlaczego żaden z ostatnich papieży nie napisał encykliki o wolności? Wolność przedstawiana jest jako zagrożenie, a nie jako fundamentalny wybór, wprowadzający nas na ścieżkę budowania dojrzałej osoby. O wolności papieże trochę mówili nie tylko jako o zagrożeniu. Ale sam temat nie jest ściśle teologiczny i duszpasterski, papieżom łatwiej o nim mówić „przy okazji”, a nie wprost. A ponieważ encykliki na ogół są głosem ostrzegającym przed jakimś zagrożeniem, to i na sposobie prezentowania wolności to się niekiedy tendencyjnie odbija. Obawa przed promowaniem wolności to zresztą nie jest monopol papieża. Wielu księży boi się stawiać sprawę sumienia i wolności wyraźnie: „Masz prawo iść za głosem swojego sumienia”. W tle czai się niekiedy niewypowiedziana wprost obawa, że przesta-

niemy wówczas mieć nad ludźmi kontrolę. A przecież nie o taką kontrolę chodzi.

Druga sprawa to język nakazów i zakazów, który – gdy zbyt przeważa – utrudnia dialog, zaistnienie w Kościele różnicy stanowisk. Obawiam się, że lęk przed dialogiem bywa wyrazem nieuświadomionego zwątpienia w Chrystusa, który jest Prawdą. Czasem boimy się rozmawiać o tej Prawdzie wprost, zastępując przepowiadanie Ewangelii wykładem nakazów i zakazów. Brak woli do podjęcia rozmowy, szczerego spotkania może być świadectwem słabej wiary. Uproszczeniem jest traktowanie dialogu jedynie jako sposobu rozstrzygnięcia jakiejś kwestii. Dialog stawia mnie i mojego rozmówcę, wspólnotę, w której się toczy, na innym, bodaj wyższym poziomie. Pozwala nam wszystkim dojrzeć. Dialog jest drogą wewnętrznego dojrzewania wiary i osoby.

Uproszczeniem jest także myślenie o sumieniu jako o policjancie, który za każdym razem wskazuje nam jedyny słuszny kierunek działania. Na szczęście nie wszystko w naszym życiu jest zdeterminowane. Nie zawsze sumienie stawia nas w obliczu wyborów zero-jedynkowych. Zastanawiam się nad wyborem studiów: interesuje mnie zarówno historia, jak i teologia, także filozofia. Z jakiegoś powodu decyduję się na jeden z tych kierunków. Nie znaczy to koniecznie, że pozostałe wybory byłyby błędne. Człowiek jest istotą wolną, a wolność stanowi tę sferę, w której często nie ma jednoznacznych rozstrzygnięć, choć bywają i takie. Zapominamy, że nasze życie to także doświadczenie swobody: możesz wybrać, co chcesz, tylko wybierz w sposób przemyślany i uczciwy. ■

▶ **ANDRZEJ SZOSTEK MIC** – prof. filozofii, etyk, pracownik naukowo-dydaktyczny w Katedrze Etyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w latach 1998–2004 rektor KUL-u